

BYCIE SZKOLEN



ORGAN SAMORZĄDU SZKOLNEGO
UCZNIÓW GIMNAZJUM IMIENIA JANA ZAMOYSKIEGO W WARSZAWIE



Fiord norweski (do art. p. t. Wspomnienia z wycieczki do Norwegii).

...Zaczynamy nowy rok naszej pracy, znów — jak w latach ubiegłych — ukazuje się powakacyjny numer „Życia Szkoły”, otwierając jakby sezon pracy społecznej, jaka nas czeka w tym roku.

W roku zeszłym obchodziło nasze pismo jubileusz pięćdziesiątego numeru. W tym roku mamy jubileusz równie uroczysty i miły — dziesięciolecie naszej pracy.

Dziesięć bowiem lat wychodzi już „Życie Szkoły”.

A w ciągu tak długiego okresu wiele się zmieniło, różne były koleje losu. Zmieniali się redaktorowie, komitety redakcyjne, układ treści, forma zewnętrzna, — ale pismo i jego duch pozostały bez zmian. Różne były momenty: dobre i złe, wesołe i smutne, rozkwitu i upadku. Ale te chwile przykre i czarne były krótkie i przemijające, zapomnijmy więc o nich i pamiętajmy tylko te miłe i dobre...

OLGIERD DĘBSKI

POSTĘP CZY UPADEK?

Z prasy: „Na zjeździe nauczycieli szkół elementarnych we Francji w sierpniu b. r. jeden z mówców, wypowiadając się za pacyfizmem, wyrzekł takie słowa: „Wolimy niewolę, niż śmierć”. Słowa te zostały nagrodzone hucznymi oklaskami słuchaczy”.

Nie będę zajmował się tutaj sprawami politycznymi, ani zbijał twierdzeń słuszności pacyfizmu czy komunizmu, które ów mówca wygłaszał. Nie leży to bynajmniej w moich intencjach. Chcę natomiast zastanowić się chwilę nad samym faktem możliwości wygłoszenia takiego poglądu i jego treściwą analizą. Sądzę bowiem, że wypadek powyższy można określić co najmniej mianem charakterystycznego dla naszych czasów. Różne mogą być poglądy i zapatrywania społeczno-polityczne. Różne mogą być prądy i idee nurtujące w danym czasie społeczeństwo i kraje.

Wolno je głosić i propaǳować zgodnie ze swoim sumieniem, nawet w miejscu publicznym, szczególnie w kraju tak liberalnym jak Francja. Ale wszystko musi mieć swoje granice, po których przekroczeniu człowiek może być kwalifikowany jako nienormalny, lub uważany za wroga społeczeństwa. W pierwszym wypadku taki osobnik zasługuje na zamknięcie w domu obłąkanych, w drugim — na więzienie jako szkodnik społeczeństwa.

Jak jednak zakwalifikować postępek człowieka, który w ten sposób przemawia i jeszcze zdobywa uznanie audytorium, podzielającego poglądy mówcy, jak tego dowodzą „huczne oklaski”, którymi został ów osobnik (bo jakże go ina-

Jesteśmy jednym z najstarszych pism szkolnych w Polsce. Nasze pismo jest uznane za jedno z lepszych pism tego rodzaju; a egzemplarze jego były wystawiane w pawilonie polskim na wystawie światowej w Chicago, jako dowód twórczej pracy literackiej młodzieży polskiej...

Wobec tak pięknej tradycji spada na barki nasze obecnie większe i trudniejsze zadanie: Musimy nie tylko utrzymać dawny poziom „Życia Szkoły”, ale go jeszcze dźwignąć wyżej.

A to od Was zależy — Czytelnicy.

Od Waszego wysiłku, od Waszych piór i talentów zależy przyszłość „Życia Szkoły”.

Dlatego też wzywamy Was do czynnej i rzetelnej współpracy w prowadzeniu i redagowaniu naszego pisma.

Bo tylko wtedy „Życie Szkoły” naprawdę żyć będzie!

A więc: Piszcie! Czekamy!

REDAKTOR

czej nazwać) nagrodzony. Nie jest to bowiem sporadyczny wybryk jakiegoś niefortunnego demagoga, ale echo niewidocznych, acz głębokich przemian, jakie się dokonywają w społeczeństwach współczesnych.

Rodzaj psychozy, pewien specyficzny światopogląd, który ogarnął już większą liczbę jednostek.

Ale co jest jego przyczyną? Czym jest on wywołany? Jakie może mieć skutki?

Oto pytania, które same cisną się na usta. Nie są to wszakże pytania li tylko retoryczne, na które można odpowiedzieć — lub nie, zależnie od własnej woli i usposobienia, ale pytania rzeczowe i palące.

Sądzę bowiem, że żaden człowiek nie może przejść do porządku dziennego nad faktem takiego wyznania i publicznego przyznania się do słabości swego charakteru.

Znając siebie i otoczenie, w którym żyje każdy z nas, zdajemy sobie doskonale sprawę, że nie zawsze stać nas na poświęcenie i bohaterstwo. Ale rozumiemy dobrze, że jest to nasza wada i wstydzimy się do niej przyznać. Wiemy dobrze, że niejedynemu znalazłszy się w tym przykrym położeniu, że musiałby wybierać między tymi dwoma ostatecznymi alternatywami: śmiercią i niewolą, wybrałby zapewne to ostatnie.

Ale zdawałby sobie sprawę ze swego stanu i braku charakteru.

Dobrze, powie mi ktoś i zresztą zupełnie słusznie: skoro jesteśmy tak słabi, to miejmy chociaż odwagę przyznać się do tego...

A jednak tak nie jest, to nie odwaga cywilna człowieka, który przyznaje się publicznie do swej słabości, to jest wręcz cynizm.

Co innego jest mieć odwagę, przyznać się do winy, a co innego chwalić się swoim brakiem godności i poczucia honoru, mówiąc z ironicznym uśmiechem: taki jestem i dobrze mi jest z tymi poglądami, — ja jestem z nich dumny.

Jestem dumny i chwale się czem... tchórzostwem i słabością. To nie odwaga — to cynizm i poniżenie.

A gdzież leży przyczyna tego stanu rzeczy. Bo jakżeż, czy rzeczywiście człowiek po tylu wiekach rozwoju, może znajdować się na tak stosunkowo niskim szczeblu moralnym.

A jednak, jeśli spojrzymy wstecz, jeśli potrafimy wyciągnąć odpowiednie wnioski z doświadczenia, nieraz bardzo przykrego przeszłych pokoleń, to dojdziemy do bardzo smutnych wyników.

Zobaczymy liczne okresy rozwoju myśli i wartości człowieka, rozwoju trudnego i naprawdę idącego w żółtym tempie. Raptem przychodzą jakieś zaburzenia i wstrząsy, a świat się wali w gruzy. Człowiek traci cały swój dorobek wielu pokoleń, z takim trudem zdobyty i musi znów od początku zaczynać swą żółtą robotę.

A jednocześnie jeśli porównamy olbrzymi rozwój techniki z rozwojem kulturowym, jaki nastąpił w tym samym okresie czasu, to przekonamy się, że równowaga między tymi dwoma czynnikami postępu jest mocno zachwiana. Jeśli porównujemy życie obecne z życiem np. z XVI wieku, to właściwa różnica zachodzi jedynie w warunkach bytu, tak odmiennych i różnych, ale tylko w przejawach zewnętrznych i związanych z nimi światopoglądem, natomiast wewnętrzna wartość i wewnętrzna siła człowieka pozostała prawie bez zmiany, lub może nawet się cofnęła, jak to skłonni są nawet twierdzić niektórzy współcześni myśliciele. Otóż trzeba sobie jasno

zdać sprawę z tego, że postępek techniczny nie świadczy zupełnie o postępie moralnym człowieka (nie umyślowym — czego nie należy mieszać). Nie możemy naprzykład mówić o niższości etycznej np. Indusów, tylko dlatego, że mamy nad nimi przewagę techniczną, i co się z tym łączy, fizyczną. Ich niektóre cechy charakteru, — jak opanowanie, siła woli i pogoda ducha są naprawdę podziwu i naśladowania godne. A tych dwóch odrębnych gałęzi i przejawów postępu — technicznej i etycznej nie należy nigdy utożsamiać i łączyć, bo o ile pierwszy nie może być obecnie kwestionowany, o tyle drugi jest dość problematyczny.

Różne bowiem są głosy i poglądy na ten temat. A wielu i to nieraz bardzo wybitnych uczonych i myślicieli doby obecnej często kwestionuje postępek etyczny, twierdząc wręcz, iż wraz z postępkem technicznym następuje częstokroć cofanie się na odcinku duchowym człowieka, a postępek współczesnej cywilizacji degeneruje duszę człowieka.

Ja takim pesymistą nie jestem.

A nie czując się (z powodów zrozumiałych), na siłach rozwiązywać tej kwestii trudnej i zawiłej, wymagającej przede wszystkim dużego doświadczenia życiowego i wykształcenia, rzucałbym jedynie tych kilka myśli, pozostawiając ich rozwijanie czytelnikom, według ich uznania i słuszności poglądów.

Sam zaś zastanawiam się nad tą sprawą. Czy lepszy jest taki postępek, prowadzący do takich poglądów, jakie cytuję we wstępie, czy stan pierwotny i dziki lecz silny — charakter?

Czy pod złudnymi pozorami, pod szumną reklamą i pstrą zasłoną hasel i poglądów „postępowych”, nie kryje się w rzeczywistości upadek i pustka moralna człowieka?

A z punktu widzenia interesów państwa, kraju i narodu czy taki postępek jest pożądany, czy też należy z nim walczyć.

WSPOMNIENIA Z WYCIECZKI DO NORWEGII

Korespondencja własna „Życia Szkoły“.

Tak się już jakoś utarło, że w każdym pierwszym numerze jesiennym „Życia Szkoły” znaleźć można wspomnienia z letnich harców Rejtniaków. I słusznie. Cóż bowiem godniejszego opisywania w dniach smętnej jesieni, niż letnie przygody? A takich przygód, jak harcerze, nikt ze śmiertelnych nigdy nie dostąpi! Zwłaszcza w tym roku nasza dwunastka, z grona Rejtniaków się wywodząca, doznała przygód niezwykłych. Wybraliśmy się bowiem na zlot do odległej Norwegii. Jubileumsleiven pa Jelvy 1936 — tak się zwała oficjalnie ta norweska Spała — zgromadzenie 6 tysięcy norweskich skautów i ich gości: 50 Anglików, 100 Duńków, 230 Szwedów i 38 Polaków. Migawkami z tego zlotu chcę się dziś z Wami podzielić.

Pozował który z Was, Drodzy Czytelnicy, do stu fotografii, rozdał który tysiąc autografów? — Nie! A ja tak! Nasza popularność była równa naszemu egzotyzmowi. Fotografie nasze figurowały w dziesiątkach dzienników, a „polen speider” — harcerz polski stawał się z zasady ośrodkiem przypadkowego zbiorowiska na głównym placu. Krajki huculskie, którymi hojnie były przyozdobione nasze namioty, stanowiły największe pożądanie każdego skauta, ba, nie tylko skauta, ale i cywila, który pomiętosiwszy dostatecznie tkaninę i dowiedziawszy się, że to jest „national” i „folklor”, a zwłaszcza to, że nabyć krajki nie można, odchodził ze smętną miną, unosząc w oczach obraz barwnej plamy, tak rzadkiej w cichej i stonowanej Norwegii.

Od rana w naszych namiotach tłok i ruch. Budzi nas jakiś niecierpliwy Norweg, co nie mogąc się nas doczekać, zagląda ciekawie przez połę namiotu. A później poprostu kolejka ciekawych. Niektórzy chodzą grzecznie, z rękami przy sobie. Ale niektórzy uważają za swój honor usiąść na pryczy (niby czy miękko), obejrzeć, czy koc ciepły, dotknąć tornistra, wpaść w głęboką zadumę nad menażką, nieznaną skautom norweskim; koniecznie pogadać z Polakiem, jeśli nie inaczej, to na mięgi. A w rezultacie odchodzą zachwyceni, zostawiając za sobą... gruzi namiotu i na wpół obłąkanych jego właścicieli.

Nadchodzi pora posiłku. Siadamy przy stołach. Naokoło zwarty tłum w milczeniu patrzy, jak jemy. Jednego z pierwszych dni któryś z chłopców nie wytrzymał: wypuścił łyżkę z ręki i jęknął: „No co, czyście dziś nic nie jedli, że się tak gapicie?!“ Pytanie to zostało, niestety, do końca zlotu retoryczne!

Tłok po południu rośnie. Cały zlot wyznacza sobie rendez-vous u Polaków. Zachwycają się nami, dziwiają, lecz jest jedno „ale“: otóż delikatnie pytają się na końcu... czy my przypadkiem nie jesteśmy organizacją wojskową? Standard naszych mundurów i ekwipunku, karność, porządek, wygoda — to są czynniki, które pachną dla Norwega wojskiem. Obawy te przedostały się nawet do prasy. Nasza wygoda, luksus po prostu w zestawieniu z Norwegami, wywołały dziwną nazwę dla drużyny polskiej: nazwano nas drużyną stołarzy! Gdy się porachuje te wszystkie stoły, ławy, prycze i półki, to nasza drużyna zużyła tyle desek, ile 8 drużyn norweskich.

Widzieliście kiedy „karuzelę“ — narodowy taniec polski, jak uroczyście ogłosiło radio norweskie, a za nim i duńskie? Nie? To posłuchajcie. Istniał sobie z dawien dawna taniec polskich zuchów — karuzela. Wygląda to tak: gromadka chłopców ustawia się w koło. Wszyscy chwytają się za ręce i zaczynają śpiewać mało skomplikowaną melodię:

Chłopcy, dziewczęta, dalej wszyscy wraz,
Karuzela czeka, woła nas z daleka;
Starsi już poszli, młodszy jeszcze nie.
Hejże ha, hejże ha, śpieszmy się!
Hej, hopsa sa, jak ona szybko mknie.
Hej dalej, dalej do zabawy śpieszmy się!

Pierwsze „pas“ polega na rytmicznym krzyżowaniu nóg w miejscu, następnie należy raz podskoczyć, a potem całe koło galopem puszcza się w prawo, znów podskok i koło w lewo. Nie trudne, prawda? Wracając pierwszego dnia z ogniska, Polacy (same stare draby, co to obowiązkowo muszą się golić na zlocie co trzeci dzień) ni stąd ni zowąd zaczęli tańczyć na głównym placu zlotu karuzelę. Najpierw kilka razy sami, za trzecim czy czwartym jednak razem każdy Polak miał po lewicy i prawicy Norwega; jeszcze chwila, a trzy koła, jedno w drugim, uwiły się po placu, po dziesięciu zaś minutach

Polacy znikli, melodia zginęła, a po polu uganiano się w szalonej karuzeli pięć ogromnych kół. Kurze przeszedł aż na brzeg morza. Zaniepokojeni instruktorzy norwescy przyszli uspokajając rozbrykany tłum. — Później tak bywało codziennie.

Aliści nadszedł dzień, gdy wyprawa nasza miała się zaprezentować na oficjalnym ognisku, transmitowanym przez radiostację w Oslo. Naturalnie jako „gwóźdź“ programu: karuzela — narodowy polski taniec, — jak zapowiedział speaker. Po ognisku ze smętną miną gratulował Gassmann, szef skautów norweskich, polskiemu zapałowi do tańca, którego nie wytrzymały deski estrady i z głośnym trzaskiem zarwały się.

Tańczyliśmy jeszcze ową sławetną karuzelę nie raz ani sto, ale z tysiąc chyba, ani jedna wszakże tak dostojna nie była, jak ta na herbatce u Pana Posła polskiego odtaińczona. Tańczył tam bowiem lektor Gassmann, który napewno szósty już krzyżyk przekroczył; tańczył śmiesznie podrygując Anglik Martin (prawa ręka Baden Powela), którego brzusek w całym skautingu jest sławny; tańczył w końcu na tym tarasie w Oslo i sam Pan Minister pełnomocny Rzplitej Polskiej na Norwegię, najstarszy urzędnik w służbie dyplomatycznej polskiej, jak nam to powiedział, a my, stojąc naokoło, śpiewaliśmy melodię karuzeli — co to jest „national polish dance“.

Norwegia, mimo że ma króla, jest krajem nawskroś demokratycznym. Pierwszego dnia, idąc rano do mycia, ujrzałem za barakami sklepowymi jakiegoś starego instruktora norweskiego. Stał i na zgiętej ręce układał swoje liny, której kłęb leżał u jego nóg. Kto to był — instruktor, co chciał się porać robotą godną biskupa? To był lektor Gassmann, pierwsza figura na zlocie. Obrazek zaiste sielankowy! Tenże Gassmann nie bał się chodzić bez świty po obozach i rozmieszczać sześciu i pół tysiąca widzów skautów i dobrych dwóch tysięcy cywilów na ognisku swymi dowcipami! Nie obawiał się rozmawiać ze spotykanymi skautami, ani uściśnić ręki wszystkim harcerzom polskim przy pożegnaniu. Mało tego, król Haakon przybył na zlot bez specjalnej asysty i tak się na nim zachowywał bezceremonialnie, że poszła plotka po obozie polskim: Król norweski jest mniej reprezentacyjny od polskiego starosty!

Przez długi czas głowiliśmy się wszyscy w obozie polskim, dlaczego większość gości bierze nas za Hiszpanów. Albowiem prawie każdemu z nas zdarzyło się być posądzonym choć raz o przynależność do narodu ze słonecznego półwyspu Pirenejskiego. Długie dyskusje zostały zakończone rewelacyjnym odkryciem. Pewnie wszyscy znacie oznakę spalską: brązowy znaczek z żubrem i z napisem „Spała“. Jeden Norweg, rzuciwszy okiem na nasz mundur, zwierzył się tak: „Jasne jest dla mnie, że jesteście

Hiszpanami. Każdy nosi przecież znaczek z bykiem i napisem „Spain”. Trudno było mu wytłumaczyć, że Spała to wcale nie znaczy Hiszpania (zwłaszcza, gdy po raz pierwszy w życiu oglądał literę ł). A gdy chodzi o żubra... dają 10 zł. każdemu, kto wyjaśni Norwegowi, co to jest żubr, zwłaszcza, że próżno szukać tego wyrazu w jakimkolwiek słowniku. Musieliśmy się zgodzić na określenie dane przez jednego ze współtowarzyszy: „Żubr, żubr... żubr to taki polski bizon!”

Za granicą człowiek wpada w przykre nałogi. Jednym z nich jest mówienie wszystkim i o wszystkim szczerą prawdą w błogiej pewności, że i tak tego nikt nie zrozumie, jako że to po polsku. Taksuje się więc dokładnie spotkane osoby, biorąc pod uwagę nie tylko zewnętrzne cechy; sąsiadom w pociągu daje się uprzejme rady w rodzaju: „Dziadziu, zamknij okno”, albo „Babciu, trochę ciszej”. Policjanta z zasady nazywa się panem starszym lub „głina”, no chyba w ostateczności „Adamem”, jako że Adam z gliny powstał, a na cały świat spogląda się w ten sposób trochę z góry. Otóż w drodze powrotnej w Szczecinie, folgując dawnym przyzwyczajeniom, odezwał się jeden typ do usługującej kelnerki w ten sposób: „Przędzej, ciociu, dawaj to masło!” Pech chciał, że to była zablakana na niemieckim Pomorzu Polka! O dalszych konsekwencjach nie piszę.

Zdarzył się jeszcze w Szczecinie jeden świetny wypadek z serii „językowych”. Pewien bardzo inteligentny członek wyprawy podchodzi do niemieckiego policjanta i ze słudziutką miną pyta: „Sprechen sie deutsch?” Co znaczy przyzwyczajenie!

Rozmawiał raz polski harcerz z Norwegiem —

cywilem. „Parlez-vous francais?” „Non”. „Do you speak english?” — „No”. Dogadali się wreszcie po niemiecku. Norweg zachwyca się tem, że Polacy mówią tyloma językami. Nagle zbliża się drugi harcerz, coś mówi do kolegi i odchodzi. Nasz Norweg robi ze swej fizjonomii znak zapytania: „Po jakiemu wy właściwie rozmawiacie, czy po rosyjsku?” Okazuje się, że biedak nie był zdecydowany: czy Polacy mówią po rosyjsku, czy może po niemiecku. O języku polskim po raz pierwszy usłyszał.

Drugi obrazek. Teraz dla odmiany rozmawia na statku Polak z Dunką. Mówią po francusku. Coś się tak zgadzało, że... jednym słowem Polak widzi, że paniusia niezbyt się orientuje, gdzie leży Polska. Przyciska więc ją do muru: „Polska? No tak między Niemcami a Francją” (?).

Cichy norweski wieczór. Słońce jeszcze wysoko nad horyzontem, ale bardzo już słabo świeci nad górami przeciwległego brzegu fiordu. Nad samym brzegiem morza w amfiteatralnie wznoszącej się dolinie sześć tysięcy skautów śpiewa na ognisku. Drużyna nasza niby siedzi razem, ale gdzie! Każda rogatywka jest otoczona wiankiem niebieskich czapeczek Norwegów, kapeluszy Szwedów i barwnych beretów angielskich. Zielona peleryna okrywa nie tylko mundur khaki, ale i ten szaroniebieski Norwega, i ten granatowy Szweda. Każdy ma swego towarzysza, razem z nim siada przy ognisku, razem łązi po wieczorkach po różnych obozach.

A teraz każdy prawie z nas otrzymuje listy z pięknymi markami i długo, długo gryzie pióro i poci się, a gdy skończy odpowiedź, pięknie pisze na kopercie: „Oslo Norge” lub „Göteborg Sverige”.

C.

ZNAJOMA Z POCIĄGU

Historia smutna lecz prawdziwa, krwią i łzami pisana.

Opowiem tutaj ~~zauważcie~~ byłem świadkiem tego lata. Opisuję zaś ten wypadek bynajmniej nie w tym celu, aby wspominać odległe już wakacje i ranić serca mych towarzyszy niedoli szkolnej, ale ponieważ historia ta może być przestrogą dla wielu czytelników. Jestem bowiem człowiekiem poważnym i z zasady nie piszę żadnych wesołych opowiadań, — „aby cały dom rozweselić, a siebie zabawić za jedne 30 gr.” (Taka jest bowiem obecna cena „Życia Szkoły”).

A zdarzenie to opisuję tylko dlatego, że tkwi w nim głęboki morał, który radzę wziąć pod uwagę i wyciągnąć z niego praktyczne rady postępowania.

Otóż było to w lipcu. (Proszę zwrócić uwagę, że nie zaczynam od więc, jak to czyni 99% moich kolegów, szczególnie przy opowiadaniu z hi-

storii). Tego pięknego dnia lipcowego ślepy los i moja wolna wola zgodziły się na to, abym był świadkiem tego zdarzenia.

Przebywałem wtedy koło Lwowa w pewnym majątku, położonym koło linii kolejowej do Żółkwi. Gdy przyszła pora wyjazdu do Warszawy, wyruszyłem ze swym znajomym, uczniem jednego z gimnazjów warszawskich. Mniejsza o nazwisko — nazwijmy go np. Felusiem. Jest on głównym, acz wbrew znaczeniu imienia niefortunnym bohaterem niniejszego opowiadania. Wsiadliśmy do lokalnego „ekspresu”, który miał nas zawieźć do Lwowa, gdzie trzeba było się przesiadać.

Był to dzień upalny, w wagonach kurz i duszno, a w dodatku wagony stare z otwartymi przedziałami; podróż nie zapowiadała się zbyt przyjemnie.

Siedliśmy do pustego przedziału i „ekspres” ruszył z zawrotną szybkością 20 klm na godzinę.

Ja, człowiek pracowity i intelektualista, zabrałem się do studiowania jakiejś książki typu „kolejowego”, mniej więcej o takim tytule: „Zegar śmierci” czy też „Mord o północy”. Feluś zaś, ruchliwego usposobienia, kręcił się ciągle po przedziale. W pewnej chwili pogrążony w tak interesującej lekturze, zauważyłem, że stoi on w otwartym oknie i prowadzi z kimś ożywioną rozmowę. Człowiek rozmawiający z duchem — to coś niedobrze. Mogłem wprawdzie sądzić, iż z powodu upału nastąpiło u mego przyjaciela niewielkie i tylko chwilowe zaćmienie umysłu. Ja jednak tej ewentualności nie wziąłem w rachubę i zacząłem szukać celu przydługiej tyrady mego przyjaciela o pogodzie. A nie trudno było ją znaleźć: dostrzegłem w sąsiednim oknie profil osoby płci pięknej, do której było skierowane uwagi mego przyjaciela.

Niestety, z powodu nieuprzejmości dyirekcji P. K. P., która nie dała wagonów pulmanowskich, a tylko te stare z „przeciągiem”, ludzie towarzyscy zmuszeni byli kontentować się rozmową przez okna, która napotykała wskutek wiatru i hałasu na wiele trudności.

Kto zacy był towarzyszką rozmowy, nie widzieliśmy obaj. Również spostrzeżenia nasze były bardzo powierzchowne, widzieliśmy jedynie profil twarzy, z lekko zadartym noskiem (kokieterijnym, jak twierdził Feluś), osłoniętym jasnymi włosami. Wzrost raczej mały — oto wszystko, co można było wywnioskować i zauważyć w tych warunkach.

Mimo to rozmowa toczyła się ożywiona. Ot taka zwykła sobie rozmowa o niczym po prostu dla zabicia czasu. Zaczęło się chyba od pogody, że jest duszno, że gorąco, że będzie burza, żeby tylko deszcz nie padał w czasie wysiadania we Lwowie. Czytając książkę, mimowoli przysuchiwałem się rozmowie, a rozmowa taka z osobami nieznanymi nie odznacza się na ogół specjalną oryginalnością, ta zaś była chyba najbardziej

szablonowa, nawet wśród tych szablonowych. Bliższych zaś danych, dotyczących się tej osobki, a ułatwiających prowadzenie rozmowy, nie udało się ustalić, chyba tylko tyle, że miała z pewnością ojca, matkę i siostrę.

Jednak dwoje młodych ludzi z dobrą wolą zawsze znajdzie jakąś możliwość porozumienia się i wybrnięcia z najbardziej kłopotliwych sytuacji.

Przeto rozmowa z pogody przeszła rychło na dalszą podróż. Okazało się, że owa nieznajoma jedzie również do Warszawy. Feluś tak był rozpromieniony, podróż zapowiadała się tak ciekawie, że w rozmowie, coraz bardziej ożywionej, wpadał w coraz większy ferwor, plótł coraz większe androny.

Lecz właśnie w chwili, gdy się na dobre rozgadał i „przejechał” wszystkie życiorysy aktorów filmowych, zaczął opowiadać o własnych planach i przewagach; gdy w napięciu patetycznym rozmowy, zakrawającej na wzniosły monolog, zaczęły się pojawiać wyrazy takie, jak duch, wieczność, miłość i aureola złotych włosów — czego nieznajoma słuchała z zachęcającym a dyskretnym uśmiechem. (Uśmiecha się „bosko” — rzekł Feluś), pociąg zajechał na stację.

Ja, nie biorąc udziału w rozmowie, ubrałem się wcześniej i pierwszy wysiadłem z przedziału...

I nagle na peronie spostrzegłem naszą nową znajomą, stojącą obok jakiejś starszej jejmości. Rzuciłem na nią wzrokiem i ryknąłem śmiechem, aż się ludzie obejrżeli. Ubrana była w sukienkę do kolan i mogła mieć najwyżej dwanaście lat.

Feluś, ujrawszy ją, zdębiał, zbladł, a potem poczerwieniał, z miną samobójcy który zgubił sznur konopny, wściekły poszedł do bufetu.

Morał z tej historii pozostawiam do rozstrzygnięcia czytelnikowi.

Ja w każdym razie widzę jeden: Należy wycofać z ruchu wagony starego typu, bez połączeń między przedziałami. Szanowni czytelnicy niech wyciągają inne.

A T A K

Małe miasteczko pomorskie Skorzewo było tego dnia świadkiem niecodziennych zgoła wydarzeń. A że starzy ludzie przebąkiwali coś o zbliżającym się końcu świata, o straszliwej komicie, reklamowanej w poniekórych „Głosach”, czy „Expressach” — wszyscy tedy przyglądali się z zaciekawieniem, co to jest i co z tego wyniknie.

A to przyszło z dwóch stron — ze wschodu i z zachodu — i wkroczyło do miasta, rozsypując się od razu na kilka małych oddziałów w harcerskich mundurach, z czerwonymi chustkami na szyi. Szalona ulewa spotkała ich w marszu, przed godziną — to też woda chlupie w „nieprzemakalnych” butach i trzeba z niej wyżymać

równie nieprzemakalne wiatrówki. Ale nic to! jak mawiał pan Wołodyjowski. Słońce już grzeje, mundury parują, suchą słomę się zaraz wepchnie do butów — i fason jest, a to grunt!

Po miasteczku rozbiegają się ruchliwi kwatery mistrze. Zdobywają szybko co przedniejsze stodoły — rozległe, zasobne, wypełnione słomą i sianem. Za nimi ciągną zastępy, ostrożnie omijając przechadzające się po podwórzach krowy, które patrzą krzywym okiem na czerwone chustki i krawaty.

Robi się ruch. — Zastępy roztasowują się w kwatery, kopie się kuchnie polowe, zapalają się w nich ognie, już się gotują jakieś dziwnego autoramentu polewki. Zupa niejadalna — nie

szkodzi, dosypać cukru, to każdy z przyjemnością „i owszem” — decyduje jakiś zastępowy.

W okazałej stodole w środku miasteczka rozwaterowała się Komenda — „Dowództwo Armii”. Już biegają służbowi. Paski pod brodą. Pośpiech. Idą rozkazy. Zaciągać czujki na szosie! Nie wolno chodzić po mieście w większych grupach, niż samotrzeć. Nie wolno śpiewać, krzyczeć, śmiać się, gwizdać, skakać, bić się, grać w piłkę do dołka, kupować lodów i strzelać z korków butelek od lemoniady. Nie wolno! Nie wolno! Nie wolno!

Nastroj się robi gorący, naprężony. Patrole straży przybocznej Wodza Naczelnego krążą po mieście, aresztując łamiących przepisy. Prowadzą ich do kwatery Komendy, odbierają broń i pas, co unieruchamia więźniów, i wtracają ich do aresztu (przegroda w stodole). — Po majdanie każę was włóczyć! — grozi Wódz Naczelnny, a czarne jego oczy pałają ogniem błyskawic.

Wódz Naczelnny jest wogóle zdenerwowany i nieswój. — Oddziały zmotoryzowane nie nadeszły! — martwi się nie na żarty — „błękitna limuzyna” spotka nas dopiero w Kościerzynie!...

Plan bitwy już gotów. Trzeba tylko natchnąć męstwem żołnierzy i czekać wieczoru na jego wykonanie. — Cichy alarm, trąbić przez munsztuk! — rozkazuje Wódz.

Zaroiło się nagle miasteczko od pędzących na linię zbiórki oddziałów. Pocziwi mieszkańcy przecierają sobie oczy ze zdumienia. Na paradywnym placu centralnym miasteczka, gdzie zapewne ogłasza się wszystkie rozkazy władzy, i gdzie, pod wielkim masztem, ustawiają się dwa razy na rok szeregi ochotniczej straży pożarnej i stowarzyszenia rzeźników miejskich — zbierają się nasze zastępy. Błyskawicznie wydłuża się szereg, równa, gotowy. Wódz Naczelnny zabiera głos...

Późny wieczór. Gwiazdy nabierają blasku, wschodzi księżyc. Po co tak jasno?! Na szczęście jakieś ciemne obłoki od zachodu. Zbliżają się. Proche się ściemnia. Oddział zbrojnych (maksimum w noże harcerskie „do 10 cm. długości”), posuwa się szybko i cicho naprzód. Nie wygląda: ani czerwonych chustek, ani przysłowio- wych 2 WDH „białych” spodenek. Wszystko ciemne, w długich treningówkach i ciemnych swetrach — ciemne jak noc, która ich otacza.

Biegną, podawane szeptem coraz dalej, ostatnie zarządzenia co do ataku. Przegrupowanie. Łączą się małe grupki z dowódcami na czele. Każda ma wyznaczone zadanie.

Mądrzy i przebiegły wywiadowcy jeszcze tego samego dnia zbadali teren i odnaleźli obóz wrogiej drużyny — 27 WDH. Jest na wzgórzu, w lesie, nad jeziorem Garczyńskim, kuchnie na dole, jasne namioty, drużyna idzie następnego dnia na wycieczkę — przynieśli wyczerpujące wiadomości. Jest nawet plan tego obozu.

Kobiety, dzieci i starcy zostaną w domu, krzepcy mężowie za mną! — zadekryował Wódz Na-

czelnny, pozostawiając w Skorzewie najmłodsze zastępy pod wodzą mężnego Stanisława Ostoi Brodatego. Krwi chciwi woje z „Panter” i „Żbików” oraz szereg innych wodzów weszli w skład grupy atakującej.

Przyszli na brzeg jeziora. Niesamowicie lśni w blasku księżyca jego nieruchoma tafla. Czasem tylko plusk jakiejś ryby na powierzchni i biegną kręgi drobniutkich, drżących fal, zanikających po chwili w bezruchu ciemnej toni. Jest cisza. Cisza tak nieprzyjemna, że słychać każdy trzask gałęzi pod nogą. Wydaje się, że na pewno, koniecznie muszą go słyszeć też we wrogim obozie. W pobliżu błyszczą światełka w młynie przy jeziorze. Oddział przemyka się cicho koło niego.

— Ten młyn widać i słychać z obozu „27” — objaśnia szeptem jeden z dzisiejszych wywiadowców.

Ktoś się potknął, przewrócił z trzaskiem. W młynie budzą się psy z wrzaskliwym ujadaniem. Jeden basem, drugi — piskliwie, po szczenięcemu, jak rasowe szczenię kundla pospolitego Fradzio, ulubiona maskota „Dwójki”. — Złe! Posłyszają!

Trudno. Zresztą pewnie by się nie zorientowali. Naprzód!

Oddział posuwa się dalej. Wreszcie zatrzymuje się; z wylczeń wynika, że o paręset kroków jest już obóz. W myśl otrzymanych instrukcji — poszczególne grupy operacyjne odłączają się, biorąc wskazany kierunek.

Powoli, częściowo na czworakach, posuwają się naprzód atakujący. Jakiś głęboki parów. Wyłażą na jego drugi brzeg. Drzewa coś rzadsze, Namioty? — Zrobiło się całkiem ciemno i trudno cokolwiek odróżnić. Mylą się odległości. Tuż przed nosem, czy o sto kroków?...

Nagle błysk latarki. Tak, to namioty, obóz. Warta sobie świeci dla pewności, to dodaje odwagi. Jasna, biała smuga światła pełźnie po lesie. Błysk, świeci w oczy. Mocniej do ziemi! — Przesunęła się dalej.

Teraz już łatwo się zorientować w sytuacji. Namioty, duże „kanadyjki” o jasnych płótnach; stoją w półkole. Warta w środku — z latarką, która ją zdradza. Do ataku!

„Dwójka” nie naciera z wrzaskiem i hałasem, nie napada biednego wartownika, nie spuszcza naciągaczy przy namiocie komendy. Inny, prze-myślniejszy i trudniejszy ma dzisiaj plan walki. Każda z ciemnych postaci, podkradających się do obozu, ściska w rękę jakiś zdradziecki karteluszek. Pozdrowienia, uszanowania dla „27”, lekkie drwiny i... utwory poetyckie (bo poetów w „2” nigdy nie brak). Naprzykład:

„O czemuż śpicie, mężni druhowie,
„gdy my leżymy w przydrożnym rowie
i t. d.

Kartelusik „takowy” należy, niepostrzeżenie wnieść do wrogiego obozu i umieścić go na miejscu widocznym i „ważnym” — choćby np. na tablicy rozkazów.

Co chwila jakaś ciemna postać znika we wnętrzu jednego z namiotów i po dokonaniu swego — wycofuje się powoli i ostrożnie — w las — na miejsce wyznaczonej zbiórki. Warta jakoś nie okazuje zainteresowania...

Cudów męstwa dokazuje jeden z wodzów „Dwójki”, Kołderką zwany. W porywie bohaterstwa wdziera się on do wrogiego namiotu z magazynem, w celu pozostawienia tam filozoficznej uwagi, własnoręcznie skreślonej:

„Złe gości przyjmujecie, nic im jeść nie dajecie!” Rym wprawdzie słaby, ale co za treść! W wymienionym namiocie potyka się on o jakiś okrągły przedmiot, który po dokładniejszym obejrzeniu okazuje się, że to głowa śpiącego magazyniera. Lwie serce oboźnego „Dwójki” na chwilę przestało bić z emocji — lecz śpiący wróg się na szczęście nie przebudził... Pozostawiwszy kartkę z filozoficzną uwagą w bucie magazyniera i po dokonaniu paru jeszcze mężnych czynów — zwycięzca udaje się jeszcze na górę do właściwego obozu — po nowe laury. Wtargnął tam do jednego z namiotów w celu dokonania w nim „inspekcji” — t. zn. uczynienia takiego galimatiasu z butami, przyborami i t. d., żeby nikt nie mógł potem znaleźć i — i wychodząc już natknął się na rzecz, która uczyniła go z punktu niezdolnym do dalszej walki: na stoliku w namiocie leżał ni mniej, ni więcej, tylko sam najnowszy numer „Przeglądu Sportowego”!!!

Tego było za dużo. Zwycięski wódz poniechał

wroga, wycofał się szybko z „Przeglądem” w rękę z namiotu, z obozu, w objęcia bezpiecznego lasu, wreszcie na zalaną światłem księżycowym polanę — i zaczął studiować, świecąc sobie przysłoniętą latarką: ...że Walasiewiczówna owszem, ale Rotholc do niczego, że w każdym razie „jazda na Olimpiadę po złote medale!!!” Z zachwycenia zbudziły go dopiero głosy powracających z wyprawy wojowników.

W krótkim czasie ściągnęły na punkt zborny wszystkie grupy atakujące, syte chwały, zadowolone, rozpowiadające o swoich sukcesach (jak to się będzie bujać tych, co zostali!!!).

Obóz nieprzyjacielski śpi, jak spał. Czasem błyska latarka wartownika. Zgasło światło, palące się w młynie. Psy dawno umilkły. Zwycięskie zastępy wracają szybkim marszem do Skorzewa. Noc się zrobiła jasna, księżycowa. Ugieżdżone niebo. Chmury, sprzymierzone z „Dwójką” w czasie ataku, — wycofały się już, niepotrzebne. W maszerujących szeregach milkną rozmowy, śmiechy, przechwałki, spory, opowiadania. Ożyją jutro. I żyć będą zawsze, ilekroć fala wspomnień przyniesie, kiedyś na zimowej zbiorce, w szkole, lub na nowej letniej włodzędze — to właśnie wspomnienie...

Zabrania się dementować — pod karą administracyjną!!!

El.

«WRACAMY DO CYWILA»

Reportaż z obozu P. W. D.O.K. 1. w Lidzbarku.

Godzina 4-ta rano. W obozie za kordonem kolczastego drutu, między skleconymi z desek barakami i zlekką, trzeba to przyznać, oklapłymi namiotami, w obozie, jako się rzekło, ruch panuje i wrzawa. Mimo nielitościwego, gęstego deszczu słychać co chwila porywającą zaiste pieśń, potężną zwłaszcza, gdy śpiewają ją junacy, kiksują niemiłosiernie na górnych końcowych tonach, (chodzi bowiem głównie o to, by było głośno) „sto lat niech żyje nam”! Co chwila też wylatuje na pokazną wysokość ciało któregoś z panów oficerów lub podoficerów, (uwaga dla laików: operacji takiej dokonywa się zazwyczaj za pomocą koca, trzymanego za cztery rogi). Tak, jedziemy do domu, do cywila. Trzeba godnie i szczerze pożegnać tych wszystkich, którzy dzielili z nami obozowe trudy i znoje.

Kompanie zdają kolejno zafasowane rzeczy i stają na swych „odwiecznych” miejscach zbiórek. Czwarta kompania, najmorowsza — mam zaszczyt być jej rzeczywistym członkiem — na rozkaz pana szefa również staje w tak dobrze znanym dwuszeregu. Ostatni raz padają z ust kochanego szefa — można użyć tego wiele mówiącego przymiotnika w ostatnim dniu obozu —

tak często słuchane na baczność słowa: „E, junak”, karabin w „rencach” trzymacie, czy gromnicę pogrzebową?”

Następuje część oficjalna. „Na ramię broń! Prezentuj broń! Na prawo patrz!”. I pan porucznik Marian G. melduje kompanię zastępcy do wodcy kompanii, porucznikowi B. i ten ostatni zwraca się (przez łewo ramię) i wita nas tradycyjnym „Czołem junacy”. W odpowiedzi chwila ciszy, — nabieramy w płuca potężny haust powietrza — a potem drży sosnowy bór, w kantine słychać huk spadających z półek butelek (niestety, od dawna pustych), które ongi, na początku obozu służyły do przechowywania dobroczyńnego napoju, zwanego piwem. Pamiętam. Spojrzałem na pana Sierżanta S., twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej, choć zda się to fizyczną niemożliwością, sam zaś pan sierżant nasunął furazerkę jeszcze głębiej na prawe ucho, mimo że w rozważaniach mych na temat jego osoby zaliczyłem i to również do projektów niewykonalnych.

Naraz coś zakotłowało się w szeregach, wbrew wszelkim przepisany regulaminom, i pan porucznik, wśród ogłuszającego ryku,

wprawdzie nie surm bojowych, lecz niewiele mniej potężnych junackich gardeł, wyleciał „po obłoki”. Należy dodać, że uskuteczono tę operację bez pomocy koca, który w chwilach tak wielkiego entuzjazmu staje się tylko krepująca zawada.

Ale już musimy stawać na udeptanym miejscu; czwarta kompania chełpi się zarozumiale, że zna miarę swawoli — jakby jej kto choć trochę wierzył. Czekamy na półoficjalne już pożegnanie, robimy krótki, może mniej tragiczny rachunek sumienia. Cisną się do głowy wspomnienia tych chwili wesołych i głośniejszych, których świadkami były drewniane ściany obozowej kantyny, i trudów przecierpianych na ćwiczeniach i musztrach, miraż baterij wypróżnionych butelek — proszę się nie gorszyć, to tylko piwo — i wizja anielskiej cierpliwości podczas czyszczenia broni.

Wreszcie zaczyna się: „Junacy, w imieniu służby dziękuję wam za pracę w szeregach P. W. Spełniście wasz obowiązek wobec Ojczyzny. Chciałbym was wszystkich zobaczyć za kilka lat, jako zawodowych oficerów, na odpowiedzialnych placówkach. Dziękuję wam chłopcy i wznoszę okrzyk: Niech żyją junacy”.

Okrzyk podtrzymują panowie instruktorzy, każdy na swój sposób.

A potem, po „rozejście się” już nieoficjalne, ale za to najbardziej serdeczne: „Panie plutonowy, niech ich pan pilnuje w pociągu, żeby im się coś złego nie stało”.

„No, szczęście wam Boże w życiu”. „Czołem!!!” Jeszcze pożegnanie z najwyższą obozową szarżą, panem por. R., komendantem grupy obozów i kompanie maszerują na dworzec. Orkiestra gra po kolei cały swój repertuar. My spece od „lutni”, smętnymi głosami, nucimy po raz ostatni znaną melodię moniuszkowską: „I znowu gra! I znowu gra!”. Kompanie śpiewają wprawdzie wszystkie razem, lecz każda coś innego.

Ale na ten tak drobny szczegół (umieściłem go przecież w nawiasie), nikt z rozśpiewanych wagi nie zwraca, nie ma przecież między nami dyrygenta Filharmonii warszawskiej, z którego cucieniem obozowy „łapідuch” miałby zapewne w tej chwili dużo kłopotu. Tylko wróble są tym

śpiewem wyraźnie zaintrygowane, ale któż zwraca na nie uwagę? Jest nastrój, a to grunt, zapamiętajcie tę maksymę, koledzy.

W mieście nowe pożegnanie i kwiaty.

Prawdziwa kwiatowa owacja dla nas! Wzdychamy. Ileż razy odwiedzaliśmy ciche, spokojny i jakże miły Lidzbark. Mieszkańcy polubili „swych” junaków z dalekiej, wielkiej, tętniącej niezmiernym tumultem oszołamiającego życia, a tak pod każdym względem różnej od Lidzbarku, Warszawy. Byli nam wdzięczni za mniej lub więcej wydatną pomoc w czasie nieuniknionego w lecie od X lat pożaru, za naszą orkiestrę, której pierwszą zaletą była ogłuszająca hałaśliwość, wreszcie za śpiew, którym darzyliśmy ich w dzień i w nocy (zwłaszcza za ten w nocy), bez względu na okoliczności: — śpiewaliśmy na pogrzebie aptekarza, jak też i w dzień ślubu córki pana „dyrektora” miejscowej poczty. A teraz koniec wszystkiego, tak się przynajmniej nam wydaje. Coś ściska junaków za serce... Wracamy do domów, do codziennej szarej pracy, wracamy naładowani wiadomościami z dziedziny rycerskiego rzemiosła, jak owi młodzi Zbigniew i Stefan ze „Strasznego dworu” gotowi wyrzec się wszystkiego, by móc swobodnie wyruszyć, gdy miła Ojczyzna zawoła.

Oto dzieła teoretycznych wykładów pana sierżanta K.: o przykazaniach żołnierza, poświęceniu, samozaparciu i t. p. (wszystko to było nader aktualne na obozie P. W.).

Ślubów Stolnikowiczów nie bierzemy dosłownie... oni nie wiedzieli, co czynią, zatem grzechu nie popełnili. Właśnie dochodzą mnie urywki takich sobie rozmówek: „Do widzenia, panno Reniu!” „Do widzenia, ale pan napisze?” Ach, nie będę cytował innych wzruszających „Do widzenia”. Nie chcę wyciskać łez z oczu czytelników i tak zapewne smutnych z powodu podobnych powakacyjnych rozstań, tudzież, nader zresztą uroczystego, rozpoczęcia roku szkolnego.

Pociąg rusza.

Deszcz z wody, oraz z kwiatów, pada w okna wagonu. Żegnaj drogi, bo spokojny Lidzbarku! A może do zobaczenia?

Absolwent P. W. 1936 r.

Rawicz.

**INTERESUJESZ SIĘ NASZYM PISMEM —
PRZYJDŹ NA ZEBRANIE REDAKCJI**

BĘDZIESZ MIŁYM GOŚCIEM!

KRÓL UMARŁ! NIECH ŻYJE KRÓL!

Sądę, że gdy słowa moje ukażą się w druku, będzie już po Walnym Zebraniu jesiennym i wyborach naszych do władz samorządowych. Nie wiem jednak, w tym momencie gdy piszę ten artykuł, kto będzie w zarządzie Samorządu Szkolnego. Dlatego też mogę rzucić kilka uwag na temat pracy samorządowej, bez obawy, iż będę posądzony o stronnictwo, albo że popieram lub krytykuję te czy inne osoby. Mając więc wolne ręce, mogę podzielić się swoimi myślami na temat czekającej nas pracy samorządowej. Będąc już od dłuższego czasu członkiem władz nie tylko samorządowych, ale też wcześniej samopomocowych, widziałem już różne przejawy tej pracy. Widziałem jej plusy i minusy, jej wady i usterki, mam więc pewną skalę porównawczą, według której mogę oceniać z błędem stosunkowo mniejszym, niż gdybym był pierwszy rok w samorządzie, wyniki i rezultaty prac na terenie naszej szkoły.

I oto teraz stojąc na progu nowego okresu pracy, powinniśmy zdać sobie jasno sprawę z naszego stanu obecnego i zadań, jakie nas czekają. Stan obecny, jaki zastanie nowy prezes, nie jest zbyt zachwycający. Rok ubiegły był pierwszym rokiem pracy ludzi wychowawców i przygotowanych do tej pracy w samorządzie, a nie jak dotychczas bywało w samopomocy. Był to więc niejako egzamin, jakiemu poddany był ustępujący komitet wykonawczy.

Trzeba zaś zdać sobie jasno sprawę z tego, iż egzamin ten wypadł na ogół negatywnie, że nie zawsze udało się zrealizować i dokonać tego, co było nakreślone pewnym programem lub

podyktowane koniecznością. Wina zaś tego stanu rzeczy leżała zarówno po stronie władz samorządowych, jak i ogółu społeczności uczniowskiej.

Dlatego też życzyć należy, aby w tym roku praca była naprawdę intensywna i solidna, a samorząd stanął naprawdę na właściwym i sobie odpowiednim poziomie.

Do tego zaś potrzebni są ludzie bezinteresowni i energiczni, którzy by umieli ująć ster spraw samorządowych i właściwie nimi pokierować.

Dążeniem więc ludzi, którzy się Samorządem interesują i mają wpływ na wybór nowych władz, powinna być szczerza troska o dobro Samorządu. Potępić więc należy zarówno tych, którzy przez fałszywą ambicję zarówno jednostki, grupy lub pewnej klasy dążą do wybrania człowieka nie nadającego się lub nie przygotowanego do objęcia tak odpowiedzialnego stanowiska, jakim jest niewątpliwie stanowisko prezesa SS, jak i tych uczniów, którzy zgadzają się kandydować na pewne stanowiska, z tych czy innych względów, nie mając do tego odpowiednich kwalifikacji i należytego przygotowania. Należy sobie życzyć, aby był wybranym na prezesa uczeń naprawdę tego godny i gotów pracować i spełnić swój obowiązek.

Gdy zaś będą na Walnym Zebraniu zmieniać się osoby prezesów S. S., możemy powiedzieć:

Król umarł! Niech żyje król!

A jednocześnie życzyć sobie, aby nowy prezes kierował się zasadą bezinteresownej i ofiarnej pracy.

P. i P.

SPRAWOZDANIE PREZESA S. S.

za czas od 20.VI.36 do 3.X.36 r.

W dniu 20 czerwca 1936 r. zaraz po walnym zgromadzeniu nastąpiło rozdanie nagród zwycięzcom w zawodach strzeleckich. Praca na okres wakacyj była zawieszona.

Rozpoczęła się ona natychmiast w pierwszym dniu nauki szkolnej, kiedy to utworzono Komisję Wymiany Książek, która funkcjonowała od 4.IX. do 10.IX. Książek otrzymano 88, z czego sprzedano 25, na ogólną sumę zł. 34. Następnie został wybrany nowy zarząd Koła Sportowego. Koło Sportowe zgłosiło zespoły pływackie i szczypiorniakowe do zawodów międzyszkolnych. Zawody pływackie zostały rozegrane i nasz zespół uzyskał jedno I miejsce na 50 m., zawody szczypiorniaków są obecnie rozgrywane.

Następnie zaopatrzone klasy w komplety zeszytów ~~przez~~ zaczął funkcjonować sklepik. Oprócz tego zajęto się dostarczaniem mundurów P. W. dla klas IV-tych.

Koło Redakcyjne „Życia Szkoły“ obrało nowy zarząd, który przystąpił do wydania I numeru „Życia Szkoły“ w tym roku.

Wreszcie K. W. odbył jedno zebranie, na którym omawiano kandydatów do przyszłego K. W.

W zakończeniu chcę życzyć powodzenia w pracy przyszlemu K. W. i pragnę aby zawsze postępował dla dobra S. S.

Jerzy Dittmar

prezes S. S.





KRONIKA SZKOLNA

MECZ SPORTOWY

Dnia 1 października odbył się mecz szczypiorniakowy między reprezentacją naszej szkoły a „Studium”. Mecz zakończył się naszą porażką w stosunku 2:6 (1:2).

Mecz ten był ciekawym porównaniem obecnego stylu gry ze stylem z przed lat... pięćdziesięciu, który to styl reprezentowała, niestety, nasza szkoła. Okazało się bowiem, iż przez te pół wieku technika szczypiorniakowa poruszyła się wyraźnie naprzód. Dalecy jesteśmy od dawnej świetności z przed kilku lat, gdy byliśmy mistrzami Warszawy.

Żywi jednak niech nie tracą nadziei, gdyż na usprawiedliwienie porażki mamy wiele i to przekonujących argumentów.

Przed wszystkim — lepsza kondycja fizyczna „Studium” zmuszała nas do gry bardziej skomplikowanej i kombinowanej.

A z tym właśnie było najgorzej, gdyż przede wszystkim brak kol. Gasparskiego utrudnił działanie ataku i wszystkie nasze wyczyny „nie kleiły się”.

Poza tym graliśmy po raz pierwszy w jedenastkę na tak dużym boisku i do tego według nowych, nie używanych u nas jeszcze prawideł.

Na koniec śliskość boiska utrudniała nam szybkość akcji, „Studium” natomiast było do tego przygotowane i miało odpowiednie pantofle. Gra zaczęła się przy przewadze „Studium”. Atak nasz jest zupełnie niezgrany, a „Krwawy” nie może dostać piłki do strzału. Gra toczy się przeważnie pod naszą bramką. „Studium” strzela często, lecz niecelnie. Zresztą bramkarz z pomocą kol. Tuczemskiego, który przez cały czas grał najofiarniej, likwiduje groźne ataki.

Po przerwie sytuacja staje się krytyczna. „Studium” strzela raz po raz i tylko zawdzięczać należy naszemu bramkarzowi, że nie było wyniku grubo wyższego. Po kilku minutach „nasi” dochodzą do głosu i zaczynają zagrażać przeciwnikowi. Do końca gra toczy się już równorzędna.

Wynik 6:2. „Studium” górowało techniką i warunkami fizycznymi, podczas gdy my uczyliśmy się grać dopiero według nowych prawideł. Należy jednak podkreślić, że mamy szansę przy większym zgraniu się naszej drużyny na zajęcie jednego z lepszych miejsc, ale do tego trzeba treningu i pracy. Bo szkoda tylu wysiłków dla zdobycia piłki, aby ją podać... przeciwnikowi, który, niestety, do takich uprzejmości wobec nas się nie poczuwał.



Z OSTATNIEJ CHWILI

NOWE WŁADZE S. S.

Na jesiennym walnym zebraniu Samorządu Szkolnego został wybrany nowy zarząd S. S.

Komitet Wykonawczy:

Prezes — kol. Majewski Wiesław.
 V-prezes — kol. Niklewicz Ryszard.
 Skarbnik — kol. Trybowski Kazimierz.
 Kom. łącznikowy — kol. Dębski Olgierd.
 Sekretarz — kol. Garbiński Wojciech.
 V-sekretarz — kol. Sulik Bernard.

Komisja Rewizyjna:

Kol. [imię]owski Maciej.
 [imię]ski Mścisław.
 [imię]ski Witold.
 [imię] Jerzy.
 [imię]esław.

SKŁAD KOŁA REDAKCYJNEGO „ŻYCIA SZKOŁY”

Członkowie Komitetu Redakcyjnego:

Redaktor naczelny — kol. Olgierd Dębski (kl. VIII).
 V-redaktor — kol. Ryszard Niklewicz (kl. IVa).
 Administrator — kol. Witold Sadkowski (kl. IV).
 I członek — kol. Tadeusz Natorff (kl. VIII).
 Sekretarz — kol. Zbigniew Łoskot (kl. IIIb).

Członkowie Koła Redakcyjnego:

Kol. Maciej Korwin-Piotrowski (kl. VIII).
 Kol. Ryszard Starzyński (kl. VIII).
 Kol. Zdzisław Parzyński (kl. VII).
 Kol. Jan Schiele (kl. VIII).
 Kol. Zbigniew Dittmar (kl. VIII).
 Kol. Zdzisław Piasecki (kl. IV).

(Jak wiadomo członkiem Koła jest każdy uczeń, który w ciągu ostatnich 2 lat napisał jeden przyjęty artykuł).

UWAGA!! Wszyscy uprawnieni członkowie redakcji, nie wymienieni w niniejszym spisie, proszeni są o reklamowanie do sekretarza „Życia Szkoły” kol. Łoskota Zbigniewa z kl. III do dnia 10 grudnia w przeciwnym razie będą skreśleni z listy członków redakcji.

Wszystkich, którzy łaskawie zechcą napisać do „Życia Szkoły” informujemy, iż przyjmujemy prace na dowolne tematy interesujące uczniów lub ilustrujące życie szkolne.

Mogą to być rękopisy, pisane na jednej stronie. Składać można wszelkie prace na ręce redaktora kol. Olgierda Dębskiego z klasy VIII lub v-redaktora kol. N'klewicza z kl. IVa.

OD REDAKCJI!!

Numer ten wydajemy ze znacznym opóźnieniem. Tym nie mniej mamy nadzieję, że zadowolili naszych czytelników, tym bardziej, iż materiał tu zawarty nie jest bynajmniej nieaktualny. Następnym t. j. listopadowy numer naszego piśma wyjdzie normalnie około 22 listopada.



KONKURS NA ROZPRZEDAŻ „ŻYCIA SZKOŁY”

Redakcja ogłasza konkurs na rozprzedaż największej liczby egzemplarzy „Życia Szkoły” w ciągu trzech kolejnych numerów.

W konkursie może wziąć udział każdy uczeń gimnazjum.

**I Nagroda cenny aparat fotograficzny
poza tem książki i bezpłatna prenumerata „Życia Szkoły”**

Numery do sprzedaży otrzymać można u administratora „Życia Szkoły”
kol. Witolda Sadkowskiego z klasy IV

**KAŻDY UCZEŃ POWINIEN PRZYCZYNIĆ SIĘ
DO POPULARYZACJI SWOJEGO PISMA!**

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem $\frac{1}{1}$ str. 70 zł., $\frac{1}{2}$ str. 35 zł., $\frac{1}{4}$ str. 20 zł., $\frac{1}{8}$ str. 10 zł., w tekście o 20% dro

Redaktor naczelny **Olgierd Dębski**
Administrator **Witold Sadkowski**

Redaktor odpowiedzialny **prof. Henryk D**

Wydawca **Samorząd Szkolny uczniów gimnazjum imienia Jana Zamoyskiego w Warszawie**

Adres Redakcji i Administracji: Gimn. im. Zamoyskiego, Warszawa, Smolna 30.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.